

Stanisław **DYGAT**



Jezioro Bodeńskie

Stanisław Dygat

JEZIORO BODEN'SKIE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67021-77-7

Copyright © Magdalena Dygat-Dudzińska

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Przypisy: Jacek Chołoniowski

Tekst: PIW, Warszawa 1998

I

Tymczasem wybuchła wojna i dostałem się do niewoli. Była to dziwna niewola, zupełnie różna od owej niewoli męskiej, pełnej powagi, gdzie wojenne trudy otrzymują w zagroczonym drutem kolczastym terenie od nieprzyjaciela pełną satysfakcję za cnoty męstwa, a palmę męczeństwa od rodaków.

Los nie prowadził mnie nigdy otwartym gościńcem zdarzeń, ale raczej boczną ścieżką, po której wszystko toczyło się niby tak jak normalnie w życiu, jednak w odmiennej skali, z niedbalstwem odtworzenia lub fragmentarycznie – bez ostatecznego dokonania. Zaznałem wszystkiego, czego w latach moich można zaznać: cierpień i uroku miłości, powodzenia życiowego i sławy. Szlachetnych porywów i najnikczemniejszych zamierzeń. Stawałem wobec niebezpieczeństw. Wyruszałem na wojnę. Ba, doświadczyłem nawet wzruszeń ojcostwa. Ale cierpienia miłości nie doprowadziły mnie nigdy do wybuchu rozpacz, urok do upojenia. Powodzenie okazało się zupełnie osobistym złudzeniem, a sława żartem przyjaciół. Szlachetne porywy dokonywały się przed zaśnięciem w łóżku, nasycali mrok nocy i rozpraszały się w blasku dnia. Z nikczemnych zamierzeń rezygnowałem przez lenistwo i niezdecydowanie. W niebezpieczeństwie okazywało się na koniec, że w zagrożonym terenie właściwie ja jeden dziwnym trafem nie byłem na niebezpieczeństwo wystawiony. Z wojny powróciłem w trzy kwadransy, ojcostwo zaś... wołałbym wprowadzić to przemilczeć... było tylko wzruszeniem, ewentualną możliwością ojcostwa, a trwało nie dłużej niż cztery sekundy...

Nie umiem wyjaśnić, dlaczego winą za uboczną rolę w zdarzeniach i przeżyciach (byłem zawsze jedynie aktorem odgrywającym źle i bez przekonania narzuconą rolę, napisaną w sposób niezdarnie naśladowujący rzeczywistość, nigdy – jak inni – bohaterem autentycznych zdarzeń) obciążałem mojego prapradziadka.

Owego prapradziadka można uznać za pierwszego z naszego rodu. Poza niego nie sięgały zainteresowania ani wiadomości, które nawet jego tycząc były bardzo nikłe: prapradziadek narzucał się raczej jako pewna pierwsza przyczyna konstrukcyjna aniżeli żywa istota tej samej co i my krwi. Prawdopodobnie gdyby nie fakt, że to on strumień rodnej siły przesunął z Francji do Polski i w ten sposób ludzie naszego nazwiska zaczęli się rodzić Polakami, a nie, jak dotąd, Francuzami, nie istniałby zupełnie w naszych pojęciach. Nie wiem, czemu przypisać tę obojętność dla własnej przeszłości. Być może, iż jej przyczyną stała się wrodzona naszej rodzinie moc zainteresowania samym sobą osobiście. Moc ta zostawia zaledwie tyle miejsca, aby zajmować się, ile wymaga uczucie i przyzwoitość, współczesnymi członkami rodziny. Ale być może również, iż głębokie poczucie narodowe kazało nam zainteresować się tylko tym, co w nas polskie; w prapradziadku interesował nas fakt, że uczynił nas Polakami, ale nie interesował on sam, bo, bądź co bądź, był Francuzem. Cóż mógł mieć z nami wspólnego?

Bardzo możliwe, iż przeznaczenie, spostrzegłszy, że przez niedopatrzenie zakradł się przerażający błąd: ludzie, którzy według przewidzianego planu winni rodzić się Francuzami, rodzą się nagle Polakami, chciało ten błąd naprawić. Wygrywając właśnie polskość, wpłatało mojego dziadka w powstanie 63 roku i po jego upadku zmusiło go do ucieczki do Francji. Ale polskość okazała się silniejsza od przeznaczenia. Podstęp nie udał się. Mój ojciec z przywróconego na właściwe łóżysko strumienia rodne wyszedł niespodziewanie autentycznym Polakiem, ze wszystkimi zaletami i wadami swego narodu. Nie pomogło to, że urodził się i wychował w Paryżu. Korzystając z pierwszej okazji, wrócił do kraju i chcąc czyn ten uświetnić, obdarował ojczyznę mną. Daru tego zresztą gorzko żałował, uważając, iż jest wobec ojczyzny darem raczej złośliwym. Czy ojczyzna uzna to samo? Z sądem tym trzeba się nam jeszcze wstrzymać.

W każdym razie przeznaczenie, zamiast błęd swój rozwikłać, bardziej go jeszcze zaplątało: obciążało mnie wszelkimi wadami Francuzów i Polaków, jakie przodkowie moi zdołali zebrać, oraz obywatelstwem francuskim, które stało się przyczyną wtrącenia mnie do niewoli, tak niesłychanej i odmiennej od wszystkich dotychczas znanych.

Jednakowoż ja nie interesowałem się przeznaczeniem, natomiast interesowałem się prapradziadkiem.

Wiedziałem o nim tyle, że był oficerem napoleońskim, jednym z tych, którzy nie powrócili z moskiewskiej wyprawy, nie iżby padli na polu chwały, ale w skomplikowanej rozgrywce serc: ożenił się z Polką i został w Polsce na zawsze.

Myślałem o nim czasem i, jak już rzekłem, obarczałem odpowiedzialnością za moje losy. Było to zupełnie bezpodstawne, biorąc rzecz praktycznie. Wszelako intuicyjnie wyczuwałem łączący nas most, po którym przemykały ku mnie losy zapomniane czy nie dokonane. Prapradziadek ciążył mi, uwierał mnie w nienaturalny sposób. Zdawało mi się czasem, że z dalekich stron przeszłości chce mi coś wyznać, przyznać się do czegoś, prosić o przebaczenie.

Pewne sploty okoliczności pozwoliły mi wreszcie zapoznać się z jego dziejami. Przemilczę, jak doszło do tego. Była to historia o studwuletnim staruszku, który obchodził urodziny, o fotografii, ciastkach, obrazie Przenajświętszej Panienki przystrajanym kwiatami i posegregowanych zielonych karteczkach. Te wspomnienia łączą się dla mnie z innych powodów z przykrymi przejściami, które do dziś dnia są jeszcze dosyć żywe. Dlatego wolę tymczasem nie wracać do tego. Zresztą o prapradziadka tu chodzi, a nie o to wszystko.

Więc proszę:

François, mój prapradziadek, urodził się w Lyonie mniej więcej w tym czasie, gdy rozszalała się rewolucja francuska. Ojciec jego był tęgim episjerem, wkrótce zaś stał się równie tęgim republikańcem. Obie te zalety pragnął przekazać synowi, jednak przekonał się szybko, że syn zawodzi i będzie zawodził w przyszłości wszystkie jego nadzieje. Był to chłopiec cichy, marzący i niechętny do wszystkiego, co działo się wkoło. Południowe słońce było mu zbyt jasne, palące, zbyt jaskrawo oświetlające rzeczywistość, pejzaż za konkretny, a rewolucyjne krzyki wzbudzały w nim jedno tylko uczucie: przykrą dolegliwość hałasu. Nie chciało mu się bawić z rówieśnikami. Przypinanie trójkolorowych kokard i zabawa w gilotynę były dla niego nierozumnym błazeństwem. Kiedy zjawił się Napoleon, ten bóg episjerów, którzy w pompie i krwawych awanturach odkryli wreszcie łatwą lokatę dręczącej potrzeby ideologii, ojciec François odnalazł cel istnienia, ale dla François nie było to znów niczym innym, jak przykrą dolegliwością hałasu. Był już młodzieńcem, ale nie chciało mu się do niczego zabrać: zbyt jaskrawo i hałaśliwie było dokoła. Najchętniej leżał na workach z mąką za sklepem, kręcił opadający na czoło lok i zwiadywały mu się jakieś dalekie, szerokie horyzonty z lekka zamglone, pełne ciszy, spokoju i leniwego nieładu. Ojciec rozpaczał, klął, ale nie był w stanie zmusić syna do niczego. Wreszcie niemal podstępem oddał go do oficerskiej szkoły. Niechaj złoży życie Francji i Napoleonowi (ba, Europie nawet; wtedy też się tak mówiło), niechaj będzie chociaż ten pożytek.

I oto pewnego wiosennego wieczoru roku 1812 François przejeżdżał gościńcem mokotowskim w mundurze gwardii. Serce mu biło, rozglądał się wokoło zdumiony. Rozeznawał szerokie horyzonty, o jakich marzyło mu się w komórcie za sklepem, poił ucho ciszą polskiej wsi, gonił oczyma za rozrzuconymi w nieładzie domkami, aż wreszcie zatrzymał się, bo o wystrzał karabinu zobaczył drewniany dworek otoczony zielenią, na który opadała z wolna różowa kotara wieczornej mgły. Zaszczekał pies, lampa zajaśniała za firanką w oknie. François podjechał, uwiązał konia u płotu i zapukał do wnętrza. Na ganek wybiegła rodzina: stary szlachcic w polskim stroju i z siwymi wąsami, matka – siwa matrona, i córka z blond warkoczami.

– Czy mógłbym tu dostać kwatere?

– Kwaterę? Dla was wszystko, wszystko – krzyczeli troje, a najgłośniejsza panna Konstancja, moja przyszła praprababka. Należeli do tych, którzy sądzą, że Napoleon narodził się, by zbawić Polskę od niewoli rosyjskiej. Ale i François po paru dniach wiedział, po co zaciągnął się pod sztandary napoleońskie: lok nie opadał mu już leniwie na czoło, ruchy miał dziarskie, pewne siebie.

Kiedy odjeżdżał, długo, długo rozmawiał z Konstancją i na zakończenie powiedział:

– Jadę wyzwolić wasze szerokie horyzonty i rozszerzyć je jeszcze. Gdy wrócę, będziecie wolni, a ciebie zabiorę ze sobą do Francji.

Skoczył na konia wyprostowany dumnie, zasalutował szablą, dźgnął ostrogami konia, który ruszył truchtem, wyrzucając zgrabnie nogi przed siebie. Błysnął jego hełm z kitą za rogiem, a Konstancja długo, długo machała chusteczką.

W parę miesięcy potem powracał François spod Moskwy. Był sam jeden na olbrzymiej, pustej, białej przestrzeni. Koń włókł się z łbem opuszczonym. François nie miał ani szabli, ani hełmu na głowie. Lok opadał mu na czoło, spadła kokardka Legii Honorowej. W oczach miał straszne, tępe zmęczenie zbyt szerokimi horyzontami. Czoło zmarszczone troską ognia, szalu, klęski i zawodu. Jechał przed siebie, chwiając się i rękę trzymał na sercu. François nie wróci już do Francji. François pragnie tylko jednego: dojechać do dworku mokotowskiego i tam paść krzyżem przed gankiem.

Oto portret mojego prapradziadka.

II

– Żarcie rzecz główna – powiada Thomson. Przerywa na chwilę, przypatrując się swej twarzy w lusterku, które zawiesił na oknie. – Znów się zaciąłem, *bloody ass*... Żarcie rzecz główna... Popatrzcie tylko na ten harem francuskich guwernantek... – tu Thomson przerywa bez powodu. Czekamy, czy podejmie kwestię. Daremnie.

Thomson będzie teraz milczał parę dni, póki nie przyjdzie mu ochota znów trochę pogadać. Odbywa to się periodycznie i tylko rano albo wieczorem. Czasem, kiedy się rozochoci, opowiada na przykład rozwlekle, jak pił w „Café Clubie” wódkę z fordanserkami. Ale czasem rzuci tylko zdanie, wpół przerwie i chowa się jak żółw w skorupie. Od piętnastu lat prowadził swoje biuro w Warszawie, mówi płynnie, choć bardzo źle po polsku i gdy wspomina o Polsce, zdarza mu się powiedzieć: „my”. Pewnego razu w czasie trzydniówki milczenia, kiedy kładł się spać wieczorem, zamyślił się, jakby chciał sobie coś przypomnieć, wolno zdjął spodnie, a potem wystąpił w koszuli na środek pokoju i zaśpiewał, ciągle zamyślony:

*Daisy, Daisy give me your answer, do
I am half crazy all for the love of you.
[ang. Daisy, Daisy odpowiedz mi
już prawie zwariowałem z miłości do Ciebie.]*

A potem z dziesięć minut tańczył wysoko podnosząc nogi i nucąc pod nosem melodię tej piosenki, robił to przy tym tak, jakby nikogo nie było w pokoju i jakby nasze zdumione spojrzenia nie zobowiązywały go do kontaktowania swego tańca z naszą obecnością.

Ma koło czterdziestu pięciu lat i gładko wygoloną twarz Anglika z reklam mydła do golenia. Nigdy nikogo o nic nie prosi. Jeżeli mu zabraknie papierosów, przestaje palić i nie przyjmuje poczęstunków. Jeśli natomiast obfituje dzięki paczkom we wszelkie zapasy, chętnie poczęstunki przyjmuje, nigdy nie rewanżując się. Wszyscy go lubią, przez cały czas pobytu w obozie był jedynym człowiekiem, do którego nikt nie miał żalów ani pretensji.

Gdy Thomson schowa się w skorupę, wyrzucona z siodła rozmowa milknie. Pozwala mi to zasnąć na moment. Ledwie z szarozielonej mgławicy poczynają wyłaniać się ku mnie jakieś postacie, znów podrywa mnie ostry głos:

– Żarcie, pewnie żarcie, bez żarcia byś, Thomson, zdechł, a ty co chciałbyś, bracie? Może poezją żyć? Co? Co? – Choć głos zaznacza, że to nie retoryczne pytanie, Thomson nie odpowiada, bo Thomson już nie istnieje. – Guwernantki mają rację, choć inna rzecz, że straszliwie cuchną. Mają rację guwernantki. Ach, pomyśleć tylko, chlebuś biały i chrupki, o, na tyle masłem posmarowany, kawusia z pianką. Co? Klawo, klawo. Zeżarłbyś, bracie, i tylko tyłkiem z radości kręcił, a tymczasem zaraz zejdziesz na dół ćpać ten spleśniały razowiec i popijać śmierdzącą, czarną cieczą... – Zatrzymał się, potem zapatrzył bezwiednie w swój brzuch i dodał bez związku: – *Naplewat'!*

Zdumiewa nas wszystkich ten Roullot. Jest to autentyczny Francuz, spolszczony przez długie lata spędzone w Warszawie. Nie robi mu żadnej różnicy, czy mówi po polsku, czy po francusku. Gdy poznaliśmy go w więzieniu, był to wytworny starszy pan, szanowany w kupieckich sferach, może tyle, że gaduła i blagier, czego nie mogliśmy z początku zauważyć, bo wierzyliśmy we wszystko, co mówił. Nie ulega wątpliwości, iż fakt, że internowani jesteśmy w gmachu szkoły, wyzwala w nim powoli jakieś porzucone w dali czasu a niewyżyte sztubactwo. Zaczął od tego, że mówi do wszystkich „ty” i wyraża się gwarą uczniowską. Wywołuje to niezwykle kontrast z jego siwymi włosami i poważnym wyglądem. Swoją drogą, nie da się zaprzeczyć, że nasz gmach szkolny jest rzeczywiście niezmiernie szkolny. Jest to szkoła niezaprzeczenie niemiecka. Wskazują na to zarówno wygięcia łuków i układ kolorów, jak i atmosfera specyficznego porządku, gdzie martwe przedmioty równie karnie podporządkowują się sobie wzajemnie, jak podporządkowywać się tu musiały działające osoby, czyli większe i mniejsze podgolone łby.

Ale jest poza tym w tym wszystkim coś substancjonalnie szkolnego, co tylko kryje się w narodowych dekoracjach. Coś kosmopolitycznie szkolnego, co zapewne posiadają wszystkie szkoły świata. Nie wiem, czy jest to zapach woskowanych podłóg, czy tablice matematyczne, przyrodnicze i humanistyczne, obarczone umęczonym wzrokiem uczniów, czy może wielkie okna, za którymi porusza się żywy świat, wolny od zorganizowanej męki nauczania. Kiedy ktoś z nas stoi teraz przy takim oknie, trudno, by jego myśli nie zlewały się w jedno z wirującymi tu jeszcze myślami uczniów niemieckich. Nie, wszystko jedno, czy niemieckich, czy innych. Uczeń patrzący w czasie lekcji w okno jest tylko uczniem, obywatelem wszechświata szkoły, dręczonym niepokojem za innym bytem, który ledwie wyczuwa za szybą okna. Z uczniami niemieckimi, którzy może w tej chwili na dalekim froncie opłacają krwią wolność pozaszkolną, łączymy się przy oknach tą samą chętką, żeby zwagarować, uciec gdzieś nad rzeczkę, łapać motyle, na trawie się rozciągać i palić swobodnie papierosa, radując się, że nikt nie podpatruje wszelakich czynności i nie ogranicza nakazany przez radę pedagogiczną programem. Nadstawiamy ucha, spoglądamy na zegarki: dzwonek, dzwonek. Już dzwonek być powinien, triumfalny sygnał wolności, który oznajmia, że lekcja skończona: wylatuje z bramy szkolnej gromada, każdy do siebie, do swojego życia.

Daremnie.

Zegarek wskazuje, że cierpliwość w znoszeniu przymusu już dawno wyczerpana, ale dzwonek milczy. Woźny, pilnujący ładu ludzkich potrzeb, zasnął na parę lat. Darownie nadstawiamy ucha. Wpadnie w nie najwyżej sygnał alarmu lotniczego, który, choć raduje i podnosi serce, jest równie daleki wyzwoleniu, jak widnokręgi za oknem. Urzeczywistnia się sen trapiący do późnych lat każdego człowieka: odrywają cię niespodziewanie od ustabilizowanych zajęć dorosłego i marsz z powrotem do szkoły. Nastąpiło jakieś nieporozumienie, pokręcenie w czasie; okazało się, że przed laty nie dokonałeś wszystkich warunków szkolnych i nieprawnie poruszasz się w dojrzałości. Raz jeszcze trzeba wszystko zaczynać.

Tak. Ten sen się urzeczywistnił: z polskiego wyleciałem za drzwi, z niemieckiego mam ciężką pracę wakacyjną, z historii trzeba będzie zdawać poprawkę, a z arytmetyki wszystkie wyliczenia zrobiłem fałszywie, muszę je zacząć od nowa.

– Faktem jest – powiada pan Wildermayer, Alzarczyk, mówiący po polsku z kresowym akcentem – że nie pozostawiają nas tu na najlepszym wikcie. U nas na Podolu to się można było najeść! Mój Boże! Pamiętam, jak do nas na cukrownię zjeżdżali goście, zabijało się tyle bydła, ile teraz starczyłoby na aprowidowanie całej dywizji niemieckiej w przeciągu miesiąca... *Vous savez, Vilbert, chez nous en Podolie...* [fr. *Wiesz, Vilbert, z nami na Podolu...*] – zwraca się do poety Vilberta, jedyne Francuza, który na naszej sali nie umie po polsku. Pan Wildermayer mówi po polsku kresowym akcentem, ale kiedy przechodzi na francuski, trudno o piękniejszy owerniacki akcent, pierwszą bowiem część swego życia spędził w Clermont-Ferrand, a w Alzacji w ogóle nigdy nie był. Monotonnym głosem prowadzi teraz przed Vilbertem wykład o Podolu. To znów mnie usypia.

Jest nas ośmiu w tej szkolnej klasie. Wszystkich nas przywieziono z Warszawy. Dwóch autentycznych Anglików, dwóch Francuzów, jeden ja, Polak o francuskim obywatelstwie, a reszta do niczego niepodobne dziwolągi francusko-polsko-angielskie. Co rano przy wstawaniu toczą się takie i podobne rozmowy jako akompaniament do nakładania gatek, golenia i leniwego przewracania się jeszcze z boku na bok. Podstawowym językiem porozumiewawczym jest polski, choć rozmowa odpływa czasem we francuski lub angielski. Drugi prócz Vilberta autentyczny Francuz, l'abbé Cléont, rozumie wszystko po polsku, ale mimo że w Warszawie mieszkał piętnaście lat, jedyny wyraz, którego nauczył się, jest „tylko”. Dlatego, choć bierze czynny udział w rozmowie, kwestie swoje wypowiada wyłącznie po francusku. Pozostaje w dość dziwnym stosunku z Thomsonem, który znów rozumie trochę po francusku, ale powiedzieć w tym języku nie umie nawet jednego słowa. Można śmiało rzec, że ci dwaj znają się tylko ze słyszenia. O bezpośrednim porozumieniu nie ma między nimi mowy. Podobnych kombinacji jest w naszym pokoju więcej, a Vilbert i Thomson, którzy nie mają żadnego sposobu porozumienia się, są mimo to, a może właśnie dlatego, w wielkiej ze sobą przyjaźni. Vilbert przyjechał do Polski 30 sierpnia 1939 roku. Zachwycony studiami nad polską poezją, chciał poznać osobiście ojczyznę Mickiewicza i Słowackiego...

Budzi mnie straszliwy hałas: wrzask, wycia, walenie w jakieś bębny czy kotły. To deck-boye zbiegają na śniadanie. Podrywam się i siadam na łóżku: ósma godzina. Teraz już trzeba wstawać, żeby zdążyć na śniadanie. W sali nikogo nie ma. Ledwie mignęła mi w drzwiach bonżurka księdza Cléont. Nakładam szybko ubranie, nie myję się ani golę – i tak przed południem nie zobaczę Suzanne z bliska; do dwunastej wachtuje wachmeister Schroeder. Zbiegam po trzy stopnie, jak w szkole na wielkiej pauzie, na ostatniej kondygnacji mijam księdza Cléont, mam jeszcze do przebycia długi korytarz parteru, wreszcie wpadam niemal na Klause, który stoi w drzwiach ogromnej sali gimnastycznej służącej za jadalnię i wyjmuje już klucze.

– *Immer der letzte* [niem. *Zawsze ostatni*] – mruczy niechętnie pod nosem i wkłada klucz do zamka.

– *Noch der Priest* [niem. *Jeszcze kapłan*] – pokazuję palcem w tył.

Klaus jest katolikiem, czeka jeszcze chwilkę.

Suzanne już siedzi przy swoim stole. Kłaniam się zdawkowo, niby że nie chcę dawać nikomu powodu do głupich uwag. Suzanne kiwa głową i uśmiecha się tak, że nikt nie może wyczytać z tego uśmiechu nic szczególnego. Ale ja mogę. Patrzy na mnie, gdy przechodzę. Czuję, że patrzy dalej, gdy ją mijam, i odprowadza mnie wzrokiem do mojego stołu. Trochę mnie to drażni.

– Świnie jesteście – powiadam siadając, tak żeby coś powiedzieć – nie obudziliście mnie i ledwie zdążyłem.

– Pana nigdy dobudzić się nie można; skarży się pan, że przeszkadzamy panu rozmowami, a potem pretensje.

– Pan to w ogóle cały dzień tylko by spał – dodaje inny.

– A pewnie, co mam tu lepszego do roboty?

– Ejże, ejże, zdaje się, że ma pan tutaj wcale niegorszą robotę, wszyscy panu zazdroszczą...

Ogólny śmiech.

– No, tylko bez głupich przymówek – powiadam, ale jestem zadowolony i też się uśmiecham. Trochę w sposób nieodgadniony.

Następuje milczenie. Wszyscy z nabożeństwem przygotowują się do śniadania. Rozpakowują przedziwne pakuneczki, pojękując krają chleb i obskrobują go z pleśni.

Rozglądam się po sali gimnastycznej. Ciągłe nie mogę wyjść z podziwu, skąd się wziął w tym miejscu, na zachodnich krańcach Niemiec. Jest w tym coś z bajek, w których czarodziej bez woli i udziału bohatera unosi go w dalekie, nieznane kraje.

Słychać jakieś huki i eksplozje. Thomson czyta książkę. Roullot wrzeszczy mu nad uchem: – Eh, eh, Thomson! – Thomson odwraca głowę i nadziewa się na wystawiony palec Roullota. Roullot wybucha błazeńskim śmiechem. Thomson wraca do książki, jak gdyby nic się nie stało.

Salę wypełnia dziesięć olbrzymich stołów, przy każdym siedzi około trzydziestu osób; najniezwyklejsza zbieranina z całej Europy: niby Anglicy i Francuzi, ale wiele wśród nich poczwarnych wybryków natury paszportowej i narodowościowych bękartów. Dwie szczególnie odróżniające się grupy tworzy siedemdziesiąt guwernantek francuskich z Warszawy i angielscy marynarze wyłowieni z handlowego statku koło brzegów Norwegii: dwóch oficerów, dziesięciu brodatych neptunów i piętnastu rozwyrzonych chłopców okrętowych.

Znowu słychać huki. Thomson czyta książkę, Vilbert i Mac Kinley rozmawiają o Bergsonie, Wildermayer zakrajał się w palec, z rozgoryczeniem rozgląda się wkoło i mówi: – O, o, o.

Przynoszą dzbanki z kawą. Rozpoczyna się nieuchwytna walka. Ręce wyciągają się i cofają. Odzywa się jakiś rozpaczliwy głos: – Po kolei! – Vilbert i Mac Kinley rozmawiają o Bergsonie. Thomson czyta książkę.

Nagle podbiega ktoś do naszego stołu i mówi cichym szeptem:

– Szwajcaria wypowiedziała wojnę Niemcom albo odwrotnie. W każdym razie coś takiego. Ci, co byli w kuchni, słyszeli od kucharki, która właśnie przyszła z miasta. Wielka heca...

– Słychać jakieś detonacje – powiadam.

Przybiega ktoś drugi:

– Niemcy wkroczyli do Szwajcarii: Szwajcaria się broni. Słyszycie te wystrzały? To artyleria szwajcarska usiłuje się wstrzelać w koszary obok nas.

– Ja już o tym wiem od rana – mówi Roullot – ale nie chciałem was niepokoić.

Przybiega ktoś znowu.

– Podobno zahlmeister rozmawia na górze z leutnantem. Mają nas zaraz sprowadzić do schronu.

Na sali panuje wielkie podniecenie. Ksiądz wlewa kawę do termosu, niektórzy wspinają się na ławki i usiłują zobaczyć coś przez wysokie okna. Klaus wrzeszczy jak opętany:

– *Jeder auf seinem Platz!* [niem. Wszyscy na miejsca!]

Vilbert i Mac Kinley rozmawiają o Bergsonie. Thomson czyta książkę.

Przez salę przechodzi intendent. Wysyłamy do niego Olka Lampiona. Olek, będąc Żydem, jest ze wszystkimi bardzo dobrze i służy jako pośrednik wszelkich spraw. Wraca po chwili i macha ręką.

– Bujda. Kolejarz zastrzelił koło granicy policjanta, który romansował z jego żoną. Stąd to wszystko. A te detonacje to ćwiczenia na poligonie.

Wszyscy mają miny rozczarowane.

– A to was nabrałem – śmieje się Roullot – ale z was frajery. Cha, cha, cha.

Ksiądz wylewa kawę z termosu. Wildermayer roztwiera „Bodensee Rundschau”.

– Znów zatopili Anglikom siedemnaście tysięcy ton – powiada. – E, w ogóle co z tego wszystkiego będzie.

Sala się uspokaja, Thomson odkłada książkę i pije kawę. Vilbert i Mac Kinley milczą obok siebie, zamyśleni, i patrzą równolegle w przestrzeń, równomiernie żując chleb.

Po śniadaniu można wyjść na podwórko: od 8 do 10 dla mężczyzn, od 10 do 12 dla kobiet. Podwórko jest dosyć obszerne, z dwóch stron otoczone skrzydłami gmachu szkolnego, z dwu pozostałych drewnianym płotem, za którym wznosi się o kilkaset metrów na zachód szary gmach koszar. Wokoło są ogrody i domki, dalej widać pola i wzgórza, na którym stoi coś, o co toczą się stałe spory, czy jest to wieża ciśnienia, czy pomnik Hindenburga. Nikomu jeszcze nie przyszło na myśl zapytać po prostu któregoś policjanta lub żołnierza. Nie sądzę jednak, żeby to była bezmyślność. Jest to raczej celowe. Ostateczne rozstrzygnięcie nie jest tak ważne, a za to cała sprawa daje okazję do toczenia sporów, dzielenia się na obozy i do interesujących konfliktów, w czasie których można wypowiedzieć pod adresem przeciwnika najrozmaitsze ogólne zarzuty i wypominać urazy dotyczące nieumiejętności ofiarnego współżycia gromadnego. Obecnie spór wygasa, tracąc swą siłę atrakcyjną, ale przez pewien czas był bardzo ostry: zdarzyło się, że przez dwa i pół dnia wieżowcy z hindenburgczykami nie przemawiali do siebie ani słowem i odmawiali podawania ręki.

Wokoło podwórza rosną rzadko posadzone kasztany i poustawiane są ławki, które cały dzień kręcą się dookoła swej osi za słońcem jak słoneczniki. W tej chwili siedzi tylko paru neptunów, inni nie potrzebują się śpieszyć, bo przeważnie są albo żonaci, albo w dostojnym wieku, który chroni ich przed podejrzeniem tworzenia atmosfery niemoralności międzypłciowego obcowania, więc wolno im wychodzić na podwórko cały dzień. Boye niezwłocznie po śniadaniu chowają się w „abortach” i przenajróżniejszych komórkach od piwnic po strych, aby uniknąć zmuszenia do obozowych prac. W końcu powyciągają ich stamtąd, ale zawsze uda im się zyskać trochę czasu.

Przeszedłem przez podwórko raz po linii prostej i dwa razy w skos. Słońce pięknie świeci. Płaczę mi się po głowie temat z którejś symfonii Brahmsa i krótkie zdanie: *C'est pas fini* [fr. *To jeszcze nie koniec*]. Od wczoraj kołuje mi po głowie: *C'est pas fini* [fr. *To jeszcze nie koniec*]. *C'est pas fini* [fr. *To jeszcze nie koniec*]. Przystanąłem przy płocie. Wszystko wokoło świeci się, zwilżone rosą. Wody w Jeziorze Bodeńskim nie brak. Mgły unoszą się co wieczór. Nad ranem można je odnaleźć w kroplach rosy, po dachach, brukach, drzewach i dalekich polach. Kamienie na podwórze świecą jak po deszczu, ławki są wilgotne. W słońcu wszystko schnie szybko. Co by też było, gdyby wszystko wokoło zatraciło zdolność wysychania? Odbychałby się jakiś powolny, wiekowy potop, za parę tysięcy lat ta dolina byłaby jeziorem. A może nie cała rosa zdąży za każdym razem wyschnąć? Katastrofa potopu istnieje, przedłuża się tylko: *C'est pas fini* [fr. *To jeszcze nie koniec*]. Jestem pośrodku strasznego potopu, w samym wnętrzu rozszałego żywiołu, i bronię się tylko wymiarem dostosowanego do mnie czasu. Ale gdyby nagle czas skurczył swój rozmiar rozciągnięty po tysiącach lat do jednej sekundy, zostałbym z nagłą zalany i zniweczony przez ogromy wód. Odbycha się tyle żywiołowych katastrof. Czy taki skurcz czasu nie zagraża kiedyś ludzkości? A może śmierć jest też jakimś skurczem czasu?

C'est pas fini [fr. *To jeszcze nie koniec*]. *C'est pas fini* [fr. *To jeszcze nie koniec*]. – Skąd mi się to wzięło?

Co za sens patrzeć w te pola? Rozpoczyna się nowy dzień. Znów będą się wszyscy włóczyć jak widma po szkolnych salach i korytarzach, bawiąc się w ciuciubabkę ze

świadomością, że nic stać się nie może, nic nie może nastąpić. W ograniczonym terenie i z ograniczoną ilością osób można przewidzieć wszystkie kombinacje.

Ciągle nie mogę przyzwyczać się do faktu, że jestem tutaj. Okoliczności i miejsce tak nie mają ze mną żadnego kontaktu, tak wzajemnie się wyodrębniamy, że staję się sobie obcy i zapytuję chwilami ze zdumieniem: kim właściwie jestem? co to za istnienie? Wszystko, co było moim istnieniem, pozostało daleko. Wszystko, co nim nie było, jest tu, wokoło mnie. Zostałem jakoś szatańsko przeinaczony w istnieniu i nie mogę się ogarnąć ani zrozumieć, co mam ze sobą poczynać.

Niedaleko przepływa Ren.

Die schönste Jungfrau sitzt...

[niem. Dziewczyna piękna siedzi... cytat z: Heinrich Heine „Lorelei”]

Gdzież siedziała Lorelei? Może gdzieś tu blisko? Rozczesywała włosy złotym grzebieniem, powiew muskał Ren, a góry czerniały w zorzy zachodzącego słońca.

O, Lorelei, Lorelei.

Co się stało, żem tak posmutniał? Czyż starej bajki nie mogę sobie przypomnieć? Gdzież są moje stare bajki? Pogubione i rozsypane leżą daleko w kraju. Nie nadążą za mną.

C'est pas fini. [fr. To jeszcze nie koniec]

Nic się nie stanie, nic nie nastąpi.

Ludzie w obozie z dnia na dzień gorzej wyglądają. Skarżą się na złe jedzenie, ale mnie się zdaje, że zabija ich powoli świadomość, iż każdy nadchodzący dzień nie może przynieść nic ponadto, niż przyniósł poprzedni.

Lorelei i symfonia Brahmsa – jakżeż wszystko wokoło jest niemieckie.

Skąd mi się wzięło to: *C'est pas fini*? [fr. To jeszcze nie koniec?] Ktoś to niedawno powiedział albo gdzieś przeczytałem. W każdym razie było ważne. Trzeba się iść umyć i ogolić, przemokły mi pantofle od tej niemieckiej rannej rosy.

Koło okna przy schodach, naprzeciwko pokoju, gdzie śpią żołnierze roztaczający nad nami opiekę, mały Syd Dumbton czyści wysokie wojskowe buty.

Opiekę nad nami dzieli wojsko z policją: żołnierze się zajmują wyżywieniem nas i administracją, policja porządkiem, czyli wściubianiem nosa we wszystko. Zwierzchnikiem władzy wojskowej jest zählmeister, policyjnej – leutnant gruby i łysy, o dyktatorskich manierach. Opieka rozdzielona jest ściśle. Sądzę, że jeżeli pewnego dnia zechce mi się uciec, będę mógł przejść spokojnie przez drzwi koło żołnierza; nawet się za mną nie obejrzy. Nie można nie zauważyć, że obie kompetencje prowadzą między sobą o nas cichą walkę konkurencyjną. Zählmeister lubi wydawać rozporządzenia, które kolidują z wydanymi poprzednio rozporządzeniami leutnanta – i przeciwnie. Zupełnie jak w konwikcie, do którego chodziłem, świecki dyrektor szkoły z księdzem rektorem.

– *Hallo* [ang. Cześć] – uśmiecha się Syd i macha szczotką.

– *C'est pas fini* [fr. To jeszcze nie koniec] – odpowiadam jak idiota i dopiero po paru sekundach spostrzegam, że chciałem powiedzieć: dzień dobry. Syd będzie teraz przekonany, że *c'est pas fini* [fr. to jeszcze nie koniec] to znaczy dzień dobry. Pucuje buty, aż mu się policzki trzęsą i cały purpurowieje. Dostanie za to kawał chleba, parę fenigów i trochę papierosów.

Podziwiam tych Anglików. Polak nie czyściłby butów Niemcowi, nawet gdyby miał za to ponieść śmierć. Francuz zrobiłby to chyba dopiero pod grozą rewolweru. A i Niemiec, gdyby – przeciwnie – miał czyścić buty Anglikowi, uznałby to za poniżenie honoru narodowego. Ale Anglik może to robić bez żadnej ujmy dla siebie i całego imperium, nie rażąc nawet nikogo. Jest to tak mocno ugruntowana wyższość, że aż umyka potocznej świadomości i odbiera znaczenie próbom życia. Wszystkim dokoła następuje się raz po raz na

wrażliwe odciski honoru narodowego, że podskakują, klną i pienią się. Ale noga honoru angielskiego jest wolna od odcisków, nikt jej nie może urazić. Jest to arystokratyczna wyższość pełnego osiągnięcia nad brakiem pewności siebie dorobkiewicza. Stary arystokrata może sobie pozwolić na wszystko, porusza się w kręgu dobrego wychowania przekazanym jego świadomości przez szereg pokoleń, poza krąg ten nie może się wydobyć, choćby nawet pragnął, bo każdy postępek przemienia się w jego ręku w czarodziejski sposób na czyn dobrego wychowania. Ale niech identyczny postępek spróbuje popełnić przeciętny dorobkiewicz, zmrozi wszystkich chamstwem, zostanie wyproszony za drzwi.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI